



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE  
 DLA DZIECI.



KOMETY.

atko nam teraz opowie różne ciekawe rzeczy o tój dziwnój ogoniastój gwiazdce, cośmy ją na wsi widzieli—mówiła Helenka w kilka dni po powrocie z letniego mieszkania.

— O komecie—dodał Kazio—pocóż się dziecinisz, kiedy wiesz dobrze, jak się ta gwiazda nazywa.

— Oho—odparła siostrzyczka—wielkie mi rzeczy, że ją nazwać umiesz, kiedy nie potrafisz wytłómaczyć, ani co to jest takiego, ani dla czego się kometą nazywa.

— Ba! to już ojca rzecz—mówił Kazio.

— Co do nazwy—rzekł ojciec—gotów jestem zaraz objaśnić, że wyraz kometa pochodzi od *come*, co po grecku znaczy włosy. Ogon jój porównywają do rozpuszczonego warkocza. Ale teraz spodziewacie się zapewne, że wam dokładnie wytłómaczę, co to jest kometa, a ja tu na nieszczęście i sam nie wiele wiem o tём.

— O, to już chyba tatko żartuje—wołała śmiejąc się Helenka.

— Wcale nie; ani ja, ani nawet uczeńsi odemnie ludzie nie wiedzą z pewnością, co to są komety.

— A ja sobie przypominam—rzekł Kazio—jak ojciec kiedyś powiedział, opowiadając nam o gwiazdach spadających, że komety złożone są z ogromnej ilości drobnych bryłek kamiennych, czyli aerolitów.

— Takie są rzeczywiście przypuszczenia astronomów. Niepodobna jednak przez najdoskonalszą lunetę dopatrzeć, czy tak jest rzeczywiście.

— Ale dla czegoż to ojcuzłku komety tak rzadko się pokazują?—zapytała Helenka. Gwiazdki spadające daleko częściej widać.

— Astronomowie powiadają, że to są wielkie rojowiska aerolitów, które raz tylko na kilkadziesiąt lub kilkaset lat zbliżają się do słońca i wtenczas na czas krótki są widzialne. Planety, o których mówiliśmy niedawno, zakreślają naokoło słońca drogi trochę więcej wydłużone od koła; taki krąg podłużny, owalny, nazywa się elipsą. Otóż wyobraźcie sobie podobny owal niezmiernie wydłużony, a będziecie mieli wyobrażenie o zwykłej, drodze zakreślanej przez komety. Gdy się zbliżą do słońca, zaczynają biedz coraz prę-

dziej, dla tego, że je słońce z wielką siłą do siebie przyciąga; okrążywszy je, w miarę odalenia zwalniają biegu i powoli zapuszczają się gdzieś w niezmiernie odległości niebieskiego przestworza, gdzie ich już oko ludzkie dojrzeć nie może. Kometa, którą widzieliście w tym roku przy końcu Czerwca i na początku Lipca, ukazywała się już podobno przedtym w r. 1807, a zatem całkowity jej obieg naokoło długiej, eliptycznej drogi, trwać ma lat 74. Teraz pojawi się po raz drugi dopiero w r. 1955.

— O, tak długo czekać na nią trzeba!—mówiła Helenka—ale może tymczasem inne się pokażą.

— Już nawet i teraz się pokazała znów kometa, ale nie łatwo ją obaczyć, bo tylko po północy jest widzialna i nie zechce się wam pewno czuwać przez całą noc, aby na nią czatować; zresztą i nie warto, bo nie jest bardzo świetna.

— I tamta pierwsza nie była taka znów bardzo wspaniała—rzekł Kazio—babcia mówiła, że pamięta daleko większe i piękniejsze komety.

— I opowiadała także babcia — dodała Helenka—jako dawniej ludzie bali się strasznie komet, bo sobie wyobrażali, że one są przepowiednią wojny, lub wielkich innych klęsk.

— I dziś jeszcze ludzie nieoświeceni obawiają się wszelkich zjawisk niebieskich, których nie rozumieją, przypisując im jakieś urojone i niemożliwe wpływy na naszą ziemię. Trzeba być bardzo nierozsądnym, ażeby w coś podobnego wierzyć. Są komety, których bieg jest obliczony tak dokładnie, że naprzód już można wiedzieć, w którym roku się pojawią. Przed dwustu laty, w r. 1682, ukazała się kometa bardzo świetna, z długim, błyszczącym warkoczem. Znacomity astronom Halley oznaczył i obrachował już wówczas jej drogę na lat mniej więcej 76. Przepowiedział też powrót jej na rok 1759. Przewidział więc nawet małe opóźnienie, z powodu, że kometa miała przechodzić w sąsiedztwie dwóch wielkich planet, Saturna i Jowisza, a te mogły bieg jej powstrzymać nieco, przyciągając ją silnie do siebie. Możecie sobie wyobrazić, z jaką niecierpli-

wością oczekiwano powrotu komety, gdy zbliżył sięznaczony termin. Halley już nie żył, ale inni astronomowie ciekawi byli niezmiernie czy sprawdzi się jego obliczenie.

— I cóż, ojezulku, czy się stawiła w naznaczonej porze?

— Pojawiła się rzeczywiście w r. 1759, a później znowu w r. 1835. Teraz kometa ta, zwana kometą Halleya, ma się ukazać w r. 1910. Ale nie dość na tém; astronomowie wiedzieli już teraz, że to ona stała się przedmiotem wielkiego przestachu w r. 1455 i uważana była za przepowiednię wojny z Turkami, którzy wkrótce potem opanowali Carogród. Dawne kroniki wspominają także o świetnej komecie w r. 1066, gdy Wilhelm Zdobywca, książę Normandyi, wygrał wielką bitwę i podbił Anglię. Dawniej jeszcze w r. 837 ukazanie się ogoniastej gwiazdy uważane było przez Francuzów za przepowiednię śmierci króla ich, Ludwika I, który umarł w cztery lata później; wreszcie astronom Appian opisywał świetną kometę w r. 1531, a astronom Kepler w r. 1607. Łatwo było obrachować, że to była zawsze jedna i ta sama kometa Halleya. Jest jeszcze wiele innych komet, których drogi dokładnie są obliczone, można więc przewidzieć kiedy się powtórnie ukazą w sąsiedztwie słońca, a tém samym i ziemi.

— Ale ojciec nie powiedział jeszcze—rzekł Kazio—dla czego te dziwne komety mają takie ogony, czy warkocze?

— Ba! zehym ja sam mógł się o tém zkąd dowiedzieć, cóżbym dał za to. Te warkocze najwięcej właśnie zaciekawiają astronomów. Muszą się składać z jakiejś mgły nadzwyczaj nikłej, kiedy nie zasłaniają wcale gwiazd; nieraz bowiem w takim błyszczącym ogonie komety widziano gwiazdy i to wcale nawet nie przyćmione, podczas gdy najlżejsza chmurka lub mgła całkowicie je kryje przed naszymi oczyma. Niektórzy astronomowie przypuszczają, że w tych warkoczach komet nic zgoła niema, że to są tylko jakieś odbłyски światła, które się odbijają od świetnego jądra. Jądrem nazywają błyszczący, okrągły środek, który wygląda jak gwiazda. Jeżeli komety zaczną nas nawiedzać raz po

raz, tak, jak w tym roku, to może astronomowie podpatrzą w końcu coś więcej, a nim dorosnięcie zagadka się powoli rozjaśni. Czekajcie więc cierpliwie. *M. J. Z.*

## POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

### XII.

Architektura gotycka czyli ostrołukowa.

(Dokończenie).

Rysunek nasz dzisiejszy przedstawia najwspanialszą w całej Europie świątynię ostrołukową w Kolonii. Budowa ta niezwykle przechodziła koleje. Rozpoczęta w r. 1248, dopiero w Październiku ubiegłego, 1880 r. ostatecznie ukończona została. Najpierw przez lat trzysta z górą, bo aż do końca XV wieku, budowano gmach powoli, z ciągłymi przerwami, daleko jeszcze było bardzo do końca, gdy wszystkie roboty ustały, a mury przez drugie trzysta lat przeszło stały nietknięte i już zaczynały się chylić do upadku i rozpaść w gruzy. O wykończeniu katedry przestano zupełnie myśleć, nawet arcybiskupstwo kolonkie przeniesione było do innego miasta. Lecz w r. 1824 na nowo przywrócone zostało przez króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III.

Przedtém jeszcze znawca i miłośnik sztuki, nazwiskiem Boisserée, zaczął się gorliwie zajmować zaniebaną budową, a odszukawszy plan jej najdawniejszy w składach kościelnych, zaczął wydawać szczegółowe opisy i rysunki tego wspaniałego gmachu, który wielki poeta niemiecki, Göthe, nazwał zamierzonym i niewykonanym cudem świata. Namawiał tedy Boisserée, aby ten cud doprowadzono do końca; ale na to ogromnych potrzeba było funduszków, wielkiej wytrwałości i nikt wierzyć nie chciał, aby przedsięwzięcie podobne mogło przyjść do skutku.

Gdy jednak król pruski, po przywróceniu arcybiskupstwa, zajął się także i dokończeniem wspaniałej świątyni, wszystko poszło

odrazu jaknajpomyślniej. Rząd wyznaczył znaczne fundusze na prowadzenie robót, oprócz tego zbierano składki w całych Niemczech i budowa po trzech wiekach przerwy postępowała teraz nieustannie. W r. 1863 wszystkie nawy i kaplice były ukończone, pozostawało tylko wzniesć w górę olbrzymie wieżyce, nie mające równych sobie w całym świecie i te dopiero w roku zeszłym strzeliły w niebo wysmukłemi iglicami i oswobodzone zostały z ciężkiego rusztowania, które je osłaniało tak długo.

Na załączonym rysunku macie widok zewnętrzny katedry kolonkiej i możecie powziąć niejaki wyobrażenie o tém arcydziele sztuki ostrołukowej. Przypatrzcie się tym przepysznyom wieżom; to prawdziwe olbrzymy, przewyższające największą piramidę egipską, bo dochodzą 160 metrów wysokości, a jednak jak lekko wyglądają, całe wyrzeźbione, na wzór najwytworniejszej koronkowej tkaniki. Rysunek nie może wam dać wyobrażenia o rozmiarach gmachu, a i z wycień trudno je sobie dokładnie przedstawić. Powiemy wam jednak, że katedra kolonka zajmuje przestrzeń 6,000 metrów kwadratowych. Ci, co ją widzieli, powiadają, że sprawia wrażenie lasu kamiennych drzew, powiązanych w przepyszne sklepienia, powyginanych w łuki i ozdobionych niezmiernem bogactwem kwiatów i liści, jakby haftowanych na kamieniu. Świątynia ma kształt krzyża, z górną częścią zaokrągloną i utworzoną z siedmiu wielobocznych kaplic. Główne wejście ma trzy okazałe bramy, ozdobione posągami i rzezbami. Pomimo takiego ogromu, całość gmachu nie sprawia wrażenia ciężkiego kolosu, ale ma kształty wysmukłe, lekkie, wszystkie części budowy zdają się ulatywać w górę, nie przysgniatając ziemi.

Wspanialszy jeszcze ma być widok wnętrza. Wchodząc głównem wejściem, widzi się nagle przed sobą ogromną przestrzeń, tonącą w cieniu i mroku. Długie rzędy kolumn podtrzymują wyniosłe sklepienie, które zdaje się wybiegać gdzieś aż pod obłoki. I tu ogromne filary nie wyglądają ociężale, gdyż mają kształt wielkich pęków, związanych z cieńszych słupów, a u góry wybiegają do niezmiernych wysokości, rozchodząc się w wy-

smukłe ostrołuki. Bogactwo rzeźb, posągów, ozdób wszelkiego rodzaju, pokrywa ściany i kolumnady.

Wielkie okna mają szyby kolorowe i ztąd w świątyni panuje światło przyćmione, a słupy, posągi i rzeźby w tym mroku fantastyczne przybierają kształty, wyniosłe sklepienie niknie w niedościgłym oddaleniu. Świece, na ołtarzu zapalone, lampy zwieszające się z góry, migocą jak gwiazdeczki na tłem tle ciemnym, tajemniczym, a gdy głos organów rozbrzmiewa w rozległej przestrzeni, zdaje się, że nadziemskie jakieś tony spływają z góry i przebudzają echa uspijone.

Wszyscy znawcy przyznają jednogłośnie, że katedra kolońska jest najpiękniejszym wzorem sztuki średniowiecznej, stylu ostrołukowego. Dla tego też zamieściliśmy tu obszerniejszy jój opis. *M. J. Z.*

## SŁONKO.

Wędrowało sobie słonko,  
Uśmiechnięte, jasne, złote,  
Szło nad gajem, szło nad łąką,  
Napotkało w łąkach sierotę.—

Ten się żali:—Tak wesoło  
Świecisz światu, słonko moje,  
Uśmiechami sypiesz w koło,  
Gdy ja smutny we łąkach stoję.

Obojętnie patrzysz na to,  
Jak się ludzkie serca męczą...  
I nad każdą ludzką stratą  
Promienistą błyskasz tęczę.

Słonko na to:—Biedne dziecię!  
I mnie smutno na niebiosach,  
Gdy o waszym myślę świecie,  
I o ludzi ciężkich losach.

Lecz nie mogę ustać w drodze,  
By nad każdą boleć raną—  
Więc w złocistym blasku chodzę,  
Wypełniając co kazano.

Nie pomogą próżne żale...  
Ból swój niebu trza polecić—  
A samemu wciąż wytrwale  
Trzeba naprzód iść... i świecić!

*Et—y.*

## Objaśnienie wzoru do rysunku.

Kto już ma trochę wprawy, powinien koniecznie próbować rysować głowy i całe postaci z natury, to jest z żywych osób. Sławny malarz amerykański, Benjamin West, był jeszcze małym chłopcem, gdy matka raz pewnego, wychodząc z domu, kazała mu dopilnować małej siostrzyczki. Ukołysawszy ją do snu, chłopak zaczął się w nią wpatrywać, a uspijona dziecina tak mu się ładna wydała, że spróbował ją odrysować. Rysunek ten przypadkiem wpadł w ręce pewnego malarza, który w tej próbce spostrzegł niepospolity talent i namówił rodziców małego Beniamina, ażeby go oddali do szkoły malarstwa.

Wielu innych znakomitych malarzy także od tego zaczynało, że rysowali z wzorów żywych bez pomocy nauczycieli.

I wy też dobrze zrobicie, jeżeli, nie porzyskając na wzorach, które wam podajemy, będziecie sobie od czasu do czasu dobierać wzory z natury. Zaczynajcie od przedmiotów martwych, ale jeśli się znajdzie osoba cierpliwa, która zechce posiedzieć spokojnie, póki jój wizerunku nie odrysujecie, korzystajcie z tego, bo to jest najlepsza wprawa. Zdarzy się czasem, że dziadzio usiądzie na dłuższy czas nad dziennikiem, lub babcia nad pończoszką, czasem znów młodszy braciek lub siostrzyczka usnie na kanapie; nie opuszczajcie tej sposobności, ale zaraz, zwawo, bierzcie za ołówek i najpierw szkic całej postaci odrysujecie, a potem już bez wzoru możecie go wykończyć.

Rysując z natury przekonacie się, że każda głowa ma właściwy wyraz, najważniejszą więc rzeczą jest pochwyć ten wyraz fizjonomii, ażeby wizerunek był podobny.

Do tego trzeba mieć zdolność osobną, ale każdy może nabyć w tém wprawę, do pewnego stopnia przynajmniej.

Wzór nasz dzisiejszy wyobraża portret z natury wykonany; twarz ta jest przedstawiona z boku, nie zupełnie jednak z profilu. Rozpoczynając każdy rysunek, najlepiej jest zaznaczyć szkic, a potem dopiero dodawać cienie. Nigdy żadna część rysunku nie powinna być zupełnie wykończona przed naszkicowaniem całości, bo mogłoby się okazać, że proporce zostały chybione i trzeba by wszystko na nowo przerabiać; tymczasem lekki szkic zawsze łatwo jest gumą wytrzeć.

Najważniejszą rzeczą w każdym rysunku jest zachowanie właściwych proporcji we wszystkich częściach; na to też trzeba szczególną zwracać uwagę przy wykonaniu pierwszego szkicu. Wykończenie później pójdzie już daleko łatwiej.

## Z życia wielkiego wojewody.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

PAULINĘ KRAKOWĄ.

(*Ciąg dalszy*).

Zimowym wieczorem 1148 roku, z lasu otaczającego wschodnią stronę Wrocławia wysunęła się gromadka jeźdźców na pole pokryte świeżo upadłym śniegiem, co jak tysiące brylantów iskrzył się w świetle księżyca. Grono było nieliczne, każdy w podróżnej szacie futrem podbitej, każdy z kapturem nakrywającym głowę, lecz po postawach niektórych można się było domyślać, że pod zwierzchnią odzieżą mogli nosić zbroje lub wytworne ubranie. Ludzi było więcej niż koni, na kilku z nich siedziało ich po dwóch, co zresztą nie było nic dziwnego, bo w owe czasy bywały siodła tak urządzone, że za rycerzem, kierującym koniem, siadywała dama, bezpieczna i nie potrzebująca trudzić się wyborem drogi i czuwaniem nad ruchami ru-

maka. I w jadącej teraz gromadce tak było; dwie kobiety, które po długich sukniach łatwo było poznać, siedziały za dwoma jeźdźcami, ale i mężczyźni po dwóch jechali, w samym zaś środku grona, na dzielnym koniu, w długiej szacie, z powiewną u kaptura zasłoną, postępowała szczupła, prosta, z nakazującą postawą widocznie niewiasta. Otulona ciemną szatą, trzymała silną ręką cugle, pomimo mrozu, który mógł ziębić jej palce, chociaż długimi rękawami okryte, jechała w milczeniu, zdając się nie zwracać uwagi na kroczących obok niej dwóch jeźdźców, którzy bacznie śledzili każde jej poruszenie i każdy krok jej rumaka.

Już od pewnego czasu kopyta koni tętniły po zmarzłej drodze, gdy wysoka podróżna przerwała milczenie, zapytując:

— Gdzie jesteśmy? w lesie mogliśmy się zabłąkać, ale tu pole szerokie. Gdzie nam wypadnie nocować?

Jeden z najbliższych jej towarzyszy zwrócił się ku dwom ludziom siedzącym na jednym koniu; na rozkaz jego jeden z nich zsunął się z siodła i postępując z wolna rozprostowywał zdrętwiałe długą jazdą nogi, drugi zaś, spiąwszy konia ostrogą, popędził w drogę sobie wskazaną. Rozkazujący zwrócił twarz ku podróżnej i rzekł:

— Widzę tam zdala coś jakby wzgórze, posłałem się dowiedzieć, czy to nie mieszkanie jakie, gdzieby spocząć można.

— Pośpieszmy i my w tamtą stronę, śnieg znowu sypać zaczyna, możemy znów zabłądzić.

Wkrótce wracający wysłaniec spotkał jadących ku sobie. Opowiedział, że tam znaczne jakie zabudowanie być musi, bo i światła i drzewa, lubo śniegiem pokryte, rozróżnić można zdaleka. Dążono zatem we wskazanym kierunku i rzeczywiście coraz widoczniejszą stawała się jakaś ludzka siedziba równo i mocno opasana kamienną, czy drewnianą ścianą, z poza której podnosiły się dachy widocznie drzewami otoczone, a na nich odbijało się światło tak pożądane podróżnym w śnieżną noc zimową.

Dojechano do muru, odszukano bramę, usłyszano za zagrodą szczekanie psów i zakolataną do fórki.

Uchylił ją niebawem mężczyzna średnich lat, ostrych rysów i czarnej brody; wyjrzał, przyglądał się przez chwilę przybyłym, policzył uważnie ludzi i konie i spytał:

— Zkąd to? i po co?

— Jedziemy z daleka— odpowiedział jeden z jezdnych— po gołoledzi padło nam kilka koni, zapóźniliśmy się, zbłądziwszy w lesie i chcielibyśmy odpocząć.

— A są tu widzę i niewiasty?

— Tak, są, właśnie dla tego potrzebujemy wypoczynku.

— Poczekajcie maluczko— rzekł odzwierny— zaraz będzie odpowiedź.

Zamknął szczelnie fórtkę i upłynęła dość długa chwila nim wrócił; otworzono całą bramę i wprowadzeni za nią przybyli ujrzeli się w obszernym dziedzińcu, z trzech stron otoczonym budynkami nierównej wysokości i widocznie nie jednakiego przeznaczenia.

— Zsiadajcie bezpiecznie!— rzekł człowiek, który już z nimi poprzednio rozmawiał.— Spoczynku i posiłku nikomu tujeszcze nie odmówiono.

Najznacniejsi jeźdźcy pierwsi zeskoczyli z koni, poczem, gdy jeden ujął konia za cugle, które mu wysoka niewiasta na kark zarzuciła, drugi przystąpił do siodła, a podróżna, wsparłszy się ręką na jego ramieniu, stąpiła wązką nogą na dłoń, którą jęj podawał i ociężale spuściła się na ziemię; widać było w postawie jęj i ruchach wielkie utrudzenie, a gdy odrzuciła zasłonę, na twarzy uwidoczniły się plamy czerwone i sine podkrążenie głęboko zapadłych oczu.

W miarę zsiadania przy blasku pochodni, trzymanyh przez kilku pacholków, inni przystępowali do koni i w milczeniu prowadzili je do stajen i stawiali u obfcie nasypanych żłobów. Odzwierny zaś o ostrych rysach, wysunawszy się przed innych, poszedł przodem, wskazując zapraszającym skinieniem ręki drogę do drzwi szeroko otwartych, a prowadzących widocznie do mieszkalnego domu, oświetlonych zawieszonym na haku żelaznym kagańcem.

Wszyscy szli w milczeniu, przebywszy dość ciemną sien, za otwarciem drzwi uderzeni zostali widokiem oczekującej ich gościny.

W obszernej komnacie, przy kominie, na którym jaskrawo płonął stos szczap sosnowych i jodłowych, stało wysokie, wygodne krzesło, przy nióm dwa niższe siedzenia, a nieco dalej, lecz zawsze w światła i ciepła promieniu, ustawiono szerokie ławy, na których wszyscy przybyli wygodnie pomieścić się mogli. Przywykła widocznie do pierwszeństwa niewiasta, rzuciła się strudzona i zziębnięta na krzesło przy kominie, wskazując niższe dwóm swoim towarzyszkóm i widząc, że mężczyźni pomimo zmęczenia stoją, z uszanowaniem na nią poglądając, rzekła:

— Siadajcie! wszyscy tu musimy być równi.

Usłuchali, a po pewnym przeciągu czasu, poświęconym mimowolnie na to uczucie dobrobytu, co zziębniętych i nad miarę strudzonych wędrowców przy pierwszym spoczynku ogarnia, poczęto się rozglądać dokoła.

Była to widocznie jadalnia; w pośrodku stojący mocny stół dębowy właśnie do posiłku zastawiano; uwijająca się koło niego gromadka mężczyzn, dostatnio ale nie wytwornie odzianych, znosiła po kolei misy i kubki, dzbany i kosze, nakoniec postawiono cztery srebrne świeczniki z zapalonymi świecami z złotego wosku, a blask ich oświecił ściany, dotąd tylko w półcieniu migające.

W ścianach tych z dwóch stron musiały być drzwi albo okna, ale poznać tego nie było można, bo wgłębienia zdradzające ich obecność zasłaniały od stropu do podłogi ciemno-czerwonawe, szeroko nasunięte tkaniny; pomiędzy zasłonami na mocnych policach ustawione były srebra, używane już wówczas do stołu w bardzo zamożnych domach, a było tego dużo, rozmaitych rozmiarów i pięknego wyrobu. Z podziwieniem poglądali na nie podróżni; niewiasta u komina siedząca z zajęciem także zwracała na wszystko uwagę, lecz nikt nie przerywał milczenia i ta cisza głęboka, panująca dokoła, nieprzerwana najmniejszym brzękiem licznie zastawianego naczynia, poczęła umysły obecnych tłoczyć niemiłym jakimś ciężarem, gdy z poza jednej zasłony wysunął się przemawiający już kilkakrotnie domownik i stanawszy przy stole rzekł:

— Oto chleb i sól, przyjmijcie co Bóg dał i pożywajcie w pokoju.

Powstała z krzesła nieznajoma podeszła prosto ku stołowi, gdzie właśnie okazalsze było siedzenie, a zajmąwszy je, dała znak towarzystwu swemu i przykładem zachęciła je do posilenia sił wyczerpanych, jadła i napoju było więcej jak potrzeba: zimne mięsiwa, miód, wino, pieczywo rozmaite, mleko w dzbanach i ulubione wtedy piwo, a przed głównym miejscem stała srebrna czarka z gorącą polewką, parującą silnie i wydającą woń grzanego wina z rozgrzewającymi korzeniami, podług niedawno wprowadzonej do kraju niemieckiej mody. Nie tknęła jej podróżna, podsunęła ją owszem siedzącej przy sobie kobiecie, zachęcając do spożywania, lecz na białe jej czoło wystąpiła głęboka zmarszczka, zabłyśły oczy, zacisnęły się usta i uważano, że odtąd nic już w usta nie wzięła, oczekując w milczeniu rychło jej współpodróżni pokrzepią się dostatecznie, już to zwierzyną, już gorącymi napojami, których sobie nie żalowali. Ciepło i posiłek dobrze wpłynęło na wędrowców, rozmarszczyły się czoła, zarumieniły policzki, na ustach zaczął występować uśmiech i żartobliwe słowa.

— Czy kto z was wie, gdzie jesteśmy?— spytała pochmurna pani.

— W jakimś czarodziejskim zamku zapewne— odparł wesoło najpokaźniejszy z obecnych.

— Prawdziwie, dodała jedna z dwóch kobiet, po jej bokach siedzących, tak tu wszystko tajemniczo, a tak świetnie, tak bogato!

Pani klasnęła w dłonie; miała znać zwyczaj rozkazywania i zapomniała może na chwilę, że się nie w swoim domu znajduje. Po chwili znany nam już niepiękny mężczyzna wyszedł znów z poza zasłony i postąpiwszy ku pierwszemu miejscu, oczekiwał w milczeniu.

— Kto tu jest gospodarzem?— spytała.

— A co każecie?— czy przyjęcie niedostateczne?

— Widzieć go chcę! i... podziękować— wyrzekła z wysiłkiem.

— On sam niezdrów jest, ale przyjdą jego zastępcy.

Wyszedł, nie czekając dalszych rozporządzeń, a niezadługo z za tej samej zasłony wysunęły się do sali dwie postaci niespodziewane i tuż za nimi posłaniec co ich sprowadził. Młodzieniec, lat może ośmnaście liczyć mogący, w ciemnym, niedługim, a do kształtnej kibici przylegającym ubraniu, bramowanym futerkiem, szedł pierwszy; po szacie opływał złotem przerabiany pas, ściśnięty na węzeł, ze spuszczonemi naprzód końcami, a na szyję spadały bogate pukle złotych włosów, z pod których jaśniało pogodne czoło i poważne błękitne źrenice.

Młodzian podał rękę i wprowadził tak piękne i pełne wdzięku zjawisko, że wszyscy mężczyźni, siedzący przy stole, obrócili się jednym ruchem ku falującej jeszcze zasłonie, kobiety podniosły głowy, a sama pani wysoką swoją postać naprzód podawszy, podparła czoło na dłoni, jakby powstrzymując objaw podziwienia.

(d. n.)

## GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FALI.

przez M...a.

### VII.

#### Potęga woli i słowa.

Gdy wojsku, idącemu do boju, wypadło przechodzić rynek krakowski, wszystkie chorągwie i chorągiewki pochylały się, jak na komendę, w stronę kościoła Panny Maryi. W kościele tym na marmurowej tablicy, obok wielkiego ołtarza, wryty jest taki napis: „Najświętszej Pannie Maryi Wniebowziętej święty ten dom Iwo Odrowąż, biskup krakowski wystawił, roku Pańskiego 1226.“ Napis ten, jak wszystkie ówczesne, jest oczywiście w języku łacińskim. Odrowąż ten był kanclerzem króla Leszka Białego.

Na kilkadziesiąt lat przed rozpoczęciem budowy tego kościoła Panny Maryi, cały Kraków znał wysoką, poważnej postawy żebraczkę, która siadywała w zagłębieniu mu-

ru, pozostałego z jakiejś rudery na rogu wschodniej połaci rynku. Niektórzy utrzymywali, że ten szczątek nie był szczątkiem starego, ale przeciwnie początkiem nowego domu, który rozpadł się zaniedbany po rozpoczęciu, a gruzy zeń uprzątniono, zostawiając tylko fundamenta na podstawę pięknego, modrzewiowego dworca, a u boków jego tu-lił się właśnie ów odłam muru pozostały.

strony rynku, pozostał niby przyklepiony kawałek grubego muru, podobnego do framugi, dość nisko umieszczonej przy ziemi, na przyjęcie jakiego posągu. Wysoka żebraczka siadywała też w téj framudze jak posąg. Zimą i latem, późną nocą i wczesnym rankiem, ktokolwiek przechodził tamtędy, widział ją zawsze. Nie wiedziano, czy miała inne jakie schronienie. Siedziała nieporuszono-



Katedra w Kolonii.

Starzy ludzie rozpowiadali nawet, iż gdy uprzątnano owe gruzy, wtedy właśnie zjawiała się po raz pierwszy wysoka owa żebraczka i poszedłszy do kogo należało, wyrobiła sobie, nie wiadomo na jakiej zasadzie, pozostawienie owego kawałka muru i zajęła go odtąd na swój wyłączny użytek. Uprzątnięto więc gruzy i postawiono na ich miejscu piękny dworzec, u którego boku, tuż przy rogu, od

na, nie prosząc nigdy o jałmużnę, tak, że naprawdę nie należałoby jej się nawet nazwa żebraczki. Tak ją nazywano jednakże w braku innego nazwania, a po części i dla tego, że ofiarowanej jałmużny nie odmawiała także nigdy, dziękując poważnym: Bóg zapłać. Ona nie tłumaczyła się nigdy nikomu z niczego i nie bardzo do rozmowy kwapiła, ale wszyscy wiedzieli, że nie należy jej dawać nic in-



nego, jak tylko pieniądz, lub gotowe do jedzenia jadło.

— Bo gdybyście dali jej kaszy, czy rzepy,

jak widziano, wyjąwszy dni postnych, w które nic nie jadła, o czém także wiadano, mając ją ciągle przed oczyma, jakby mieszkała



Wzór do rysunku.

czy mąki, to i gdzieżby ona to ugotowała aby zjeść?—Taką uwagą nauczała starsza kuma młodszą, zabierającą się do niewłaściwego daru. Jadło otrzymane żebraczka zjadała

w przysłowiowym szklanym domu. Co robiła z pieniędzmi, tego nikt nie wiedział, ale sądzono, że zasilana najwięcej od pospólstwa najdrobniejszą istniejącą monetą, nie może

uzbierać dużo, a i to obraca zapewne na odzież, bo ubranie jęj, sporządzone z najlichszego materiału i krojem używanym przez najuboższą klasę ludu, było siernięgą ubogą, ale łachmanem nie było. W łachmanach nikt nigdy żebraczki tęg nie widział. Małe dzieci, które widziały ją starą, widziały ją także starą, zestarzawszy się same na starców. Nikt nie pamiętał jęj inną. Ale starość ta jęj nie miała zwykłych cech starości. Żebraczka nie była ani zgarbioną, ani kwę-kającą, ani pomarszczoną nawet. Była prostą i sztywną, jak posąg, na urząd do owęj framugi zrobiony. I twarz i ręce miała jakby wyschłe, czy skamieniałe powoli i stężalą obciągnięte skórą, która się w stęzeniu swém nawet pomarszczyć nie mogła, przybierając tylko szarego kamienia barwę. Ostre rysy, o dużym, spuszczoneym nosie, zdawały się wykute wprawną dłonią, która je wyrazistemi zrobić umiała. Oczy tylko żywe były i bystre w tym posągu. A gęste włosy, wyglądające z pod używanego wówczas nakrycia głowy, w rodzaju zakonnego, z dodatkiem czapki na wierzchu, przypominały starość białością. Swoi, to jest Krakowianie, nie rozmawiali z nią nigdy, zamieniali jedynie chrześcijanskie powitanie przy dawaniu jałmużny, lub mijając ją. Ale obcy, lub bardzo młodzi, nie przyzwyczajeni jeszcze do jęj widoku, nieraz zapytywali ją na rozmaite sposoby, zwłaszcza zimą, a litość dźwięczała w takich pytaniach:

— Jak wy tu możecie wytrwać, kobieto?

— Nie macie to kąta na przytulisko?

— Nie poszlibyście do mego domu ogrzać się?

A na wszystkie takie i tym podobne mowy, żebraczka odpowiadała nieodmiennie jednemi i temiż samemi wyrazami:

— Mniejsza tam o mnie: wystawcie lepiej dom Najświętszęg Pannie.

Zdawało się, jakby nie umiała powiedzieć innych wyrazów, a na tęg zasadzając się, utrzymywali niektórzy, że jest obłąkaną. Ale nie utrzymało się takie o nięj wyobrazenie, bo czasami przecież, choć rzadko, zdarzało się i jęj przemówić inaczej. A bywało to w bardzo wyjątkowych razach, zawsze ostro, bo takie już było jęj usposobienie. Do takich

ostrzych odpowiedzi doprowadzały ją zawsze jakieś niewłaściwe zaczęпки. Raz jakiś wielki pan i hulaka, umyślnie dawszy hojną jałmużnę, spytał, aby wywołać znaną odpowiedź:

— A wy to jak wytrzymacie w taki mróz? nie macie choć kąta gdzie w domu, żeby się przytulić?

— Mniejsza tam o mnie; wystawcie lepiej dom Najświętszęg Pannie—odpowiedziała żebraczka. A na to znów rzecz dowcipny pan, mogący służyć za dowód, że dowcipnych ludzi i wtedy nie brakło nad Wisłą:

— Nie troskajcie wy się o Najświętszą Pannę, bo ciepło Najświętszęg Pannie w niebie, u Pana Boga za piecem.

I wtedy to odpowiedziała żebraczka surowo, przesywając dowcipnisią czarnych oczu spojrzeniem:

— Nieprawda, człowieku! zimno w niebie Najświętszęg Pannie, aż drży; bo mróz od zamarzłych serc ludzkich idzie w niebo aż do jęj serca i mrozi to serce!

Pan odwrócił oczy od jęj spojrzenia i odszedł, nie rozśmiawszy się wcale, chociaż zwykł się ze wszystkiego wysmiewać.

Drugi raz znów bogata mieszcza krakowska, z tęg klasy mieszczan, którzy to królów nieco później ugaszczali i złotemi potrawami zasilali podrózne ich sakiewki, rzekła z westchnieniem, owijając się w bogatą jubkę futrzaną, krytą złocistą tkaniną z guzami z drogich kamieni.

— Oj biednaś ty, biedna, niewiasto, siedzisz tu w taki mróz; jabym tam tego nie wytrzymała.—I podała jałmużnę, a żebraczka po zwykłym Bóg zapłać, dodała szyderczo:

— Nie wierz gębie, aż położysz na zębie: i mnie się tak dawniej zdawało. Nie troskajcie się o mnie, a wystawcie lepiej dom Najświętszęg Pannie—Z takich nie częstych przemówień jęj wnioskowano, że obłąkaną nie jest, a nawet, że rozum ma niepospolity; co łącząc z postawą jęj dumnie poważną, z brakiem wszelkiego o jałmużnę natęctwa i z niektórymi jęj słowami, jak owo do mieszczy i ze wstrętem do łachmanów, wysnuło sobie z czasem bajkę, że ona jest jakąś wielką panią pokutującą. Została ona tedy

niby obywatelką w swojej framudze przy krakowskim rynku i pomimo żebraczej kondycyi, miała wcale nie żebracze u ludzi zachowanie. Każdy, kto przechodził, dawał lub nie dawał datku, ale zawsze witał ją po chrześcijańsku, na co ona tak samo odpowiadała, dodając dopiero w razie jakiego pożądania swoje nieodmienne:

— Nie troszczcie się o mnie, a wystawcie lepiej dom Najświętszej Pannie.—Tak siedzącą w framudze prosto i spokojnie, a okrytą grubą siermięgą, w jasny mroźny dzień grudniowy, ujrzał ją maleńki chłopaczek, ubrany bogato, ale krojem, jakiego wszyscy i najstarsi starcy używali, bo tak ubierano wówczas dzieci. Chłopaczek ten musiał być jeszcze bardzo młody, kiedy zostawał pod niewieścią opieką, choć widocznie z zamożnego pochodził domu. A w takich domach uważano pilnie, aby chłopców staraniami niewieściami nie rozpieszczać i pod męzką od dawano ich władzę, zaraz po przejściu pierwszych lat, potrzebujących koniecznie troskliwej niewieściej ręki. Niewiasta poważna szła koło niego, trzymając go za rękę. Postać, siedząca w framudze, zwróciła uwagę dziecka. Zwolniło ono kroku, przypatrując się ciekawie, aż gdy ktoś w tej właśnie chwili podał żebracze jałmużnę, chłopiec zdziwił się tak bardzo, że aż stanął. Po chwili wy dobył z kieszeni piękną kieskę i dając złoty pieniądz żebracze, rzekł, patrząc jej w oczy:

— Ja myślałem, że wy z drewna!

Wtedy stało się to, czego ani wprzód, ani później, rynek krakowski nie widział: żebraczka w framudze rozśmiała się.

— Bóg zapłać — rzekła — bardzo wielki pieniądz dajesz mi, dziecko, nie dawaj ty mi go, a wystaw lepiej dom Najświętszej Pannie. Żebraczka mówiła te słowa takim serdecznym głosem, jakim nie mawiała zwyczajnie, chcąc zapewne osłodzić dziecku przykrość wyrządzoną odmową jałmużny. Dla czego odmawiała ten jeden raz? trudno to wiedzieć. Może nie chciała ściągać podziwu na siebie posiadaniem tak dużego pieniądza złotego. A może nie chciała go wziąć od dziecka, nie znającego jego wartości. Tak przynajmniej osądziła tę rzecz poważna nie-

wiasta, na którą także spojrziała żebraczka w tej chwili, bo poważnym skinieniem dała jej poznać, że wziąć może. Tymczasem dziecko stało zapatrzone w żebraczkę, trzymając wciąż pieniądz na dłoni olbrzymiej futrzanej rękawicy bez palców, podobnej raczej do worka i mocno zajęte rozmową, spytało prostodusznie po jej słowach ostatnich, odnoszących się do postawienia domu N. Pannie:

— A gdzie?

— A tu! — odpowiedziała — jakby bawiąc się także tą rozmową.

— Gdzie ten mur?

— I gdzie ten mur, i gdzie ten drewniany dworzec, i gdzie ten pusty grunt za dworcem, przecież dom dla Najświętszej Panny nie może być mały, jak kurnik, bo jakżeby się ludzie w nim pomieścili?..

— To prawda! — rzekł chłopiec z namysłem.

— Iwo! nogi ci przemarzną! pójdźmy! — rzekła łagodnie poważna niewiasta do dziecka.

— No, to weźcież wy ten pieniądz, a już ja i tak dom Najświętszej Pannie postawię — rzekło dziecko. Ale odszedłszy już od framugi spojrzęło jeszcze raz na żebraczkę, a potem na swoje własne nogi obute w futrzane obuwie, zarówno wielkie i niezgrabne jak rękawice i dodało, mówiąc już do towarzyski swojej i myśląc o jej słowach:

— To i jej zmarzną nogi?... po co ona tu siedzi? nie wzięłyby jej? — A na to odpowiedziała mu przechodząca mieszczka:

— Niech cię Pan Bóg błogosławi, panicyku! Byłam ja taka mała, jak ty jesteś, kiedy ona tu już siedziała dniem i nocą, w lato i w mróz, i nie zmarzła; to już ona i nie zmarznie.

Mieszczka przeszła i poszła, a chłopiec tak się zdziwił, że aż zamilkł. Po długiej chwili dopiero, idąc wciąż, przyłożył prawą rękę wolną od trzymania, ale uwięzioną w wielkiej rękawicy, do boku ogromnej swęj czapy futrzanej, niby biorąc się za głowę z dziecinnyim gestem podziwu i rzekł:

— Oj, oj, jakie też to dziwy w tym Krakowie! ojl ojl!

Dużo chmur i dużo, choć nie tak już dużo lat przeminęło od owego dnia po-

nad framugą przy krakowskim rynku i siedzącą w niej żebraczką. Ona ciągle siedziała. I zdarzyło się, że w podobnym tamtemu jasnym dniu zimowym przechodzili koło niej dwaj ludzie: młodzieniec bogato ubrany i ksiądz. Spojrzawszy na żebraczkę, która przecież miała jako żebraczka kij i torbę, oba sięgnęli po pieniądze i podali jej. Ona wzięła ze zwykłym Bóg zapłać.

— Zmarzniecicie tu dziś, kobieto? nie poszlibyście do mego domu?—spytał młodzian, patrząc ze współczuciem na żebraczkę.

— Mniejsza tam o mnie, wystawcie wy lepiej dom Najświętszej Pannie — odpowiedziała po swojemu.

Młodzian drgnął, spojrział na kobietę, na framugę i rzekł:

— A, to ja was już chyba widziałem, gdy pierwszy raz byłem w Krakowie?...

— Czemu nie; dawniej ja tu siedzę, niż ty na świecie jesteś, dziecko—odpowiedziała kobieta.

— I podobno siedzicie tu dniem i nocą, zimą i latem? i nie zmarzliście dotąd?—dziwił się panicz bogaty.

— Ej, co tam ja, wystawcie wy lepiej dom Najświętszej Pannie—rzekła stara, powtarzając starą śpiewkę swoją. A na to młody:

— Dobrze, wystawię ja dom Najświętszej Pannie, tylko wy pójdźcie na stare lata do mego domu, gdzie jest ciepło.

— Wiecie wy, że mi już drugi raz przyrzekacie?—zapytała kobieta.

— Wiem, pamiętam i gdy trzeci raz będę w Krakowie, dotrzymam. Teraz jadę w podróż—mówił młody.

— Dobrze, gdy N. Panna będzie miała w tym miejscu dom, to i ja pójdę wtedy do domu, gdzie będzie ciepło—przyrzekła stara nawzajem.

I znowu chmury i lata mijaly nad framugą i siedzącą w niej żebraczką. Aż nadszedł mroźny, jasny dzień, w którym nowy biskup krakowski w towarzystwie innych prałatów przechodził koło wieczystej żebraczki.

— Niewiasto! stara jesteś, nie masz to gdzie ogrzać starości swojej? pójdź do domu mego!—rzekł biskup.

— Mniejszatom o dom dla mnie, wysta-

wcie wy lepiej dom dla N. Panny—odrzekła stara.

— A to ja ciebie, niewiasto, już trzeci raz w życiu widzę, jak trzeci raz jestem w Krakowie!—zawołał biskup.

— I dwa razy jużście mi przyrzekli dom dla N. Panny wystawić—przypomniała żebraczka.

— Przyrzekłem, że jak trzeci raz będę w Krakowie, to przyrzeczenia dotrzymam—odpowiedział biskup.—I gdzie to wy chcecie stawiać ten dom?—zapytał.

Żebraczka zerwała się i biegnąc przed biskupem i księżmi rysowała swoim żebraczym kijem po ziemi, od swojej framugi, na około pięknego drewnianego dworca, potem na około pustego placu za dworcem, aż znów wróciła na dawne miejsce. Wtedy rzekł biskup do jednego z towarzyszy:

— Bracie Janie! tutejszy jesteś i znasz się na takich rzeczach, każże komu wypada dowiedzieć się, czyje są te grunta, zarysowane kijem żebraczym; zapłacę, co kto zechce, aby krzywdy nie było; byle stanął tu dom dla N. Panny, bom przyrzekł.

Żebraczka upadła do nóg biskupowi.

— Uwalniacie duszę moję—rzekła.

— Ale i ty dotrzymaj słowa, bo przyrzekłś iść na starość do ciepłego domu, a ja nie mogę patrzeć na marznących ludzi, kiedy mnie ciepło—mówił biskup.

— Czekajcie no, niechaj wprzód ma dom Najświętsza Panna—odpowiedziała stara.

I po raz trzeci, na ten raz najdłużej przesuwać się musiały chmury i lata nad żebraczką w framudze marznącą, zanim można było nareszcie poświęcić nie wykończony jeszcze kościół Panny Maryi w krakowskim rynku.

Wychodząc z kościoła po poświęceniu w towarzystwie innych księży, ujrzał biskup żebraczkę, już nie w framudze, ale w proggu kościoła.

— Uwolnięś duszę moję -- powiedziała ona i znowu upadła mu do nóg.

— To chodźże teraz do domu mego—rzekł biskup i chciano podnieść żebraczkę. Podniesiono ją z trudem, ale już nie żywą.

— Odeszła do ciepłego domu—powiedział biskup Iwo. — Oto jest dowód potęgi woli i

słowa: ta żebraczka postanowiła, że na tém miejscu stanie dom dla Najświętszej Panny i dom stanął.

Tak mówił biskup i nie chciał umieszczać tablicy ze swém nazwiskiem koło wielkiego ołtarza, utrzymując, że jemu ani na myślby nie przyszło ten dom stawiać, gdyby nie żebraczka, że więc nie jemu należy się zasługa, ale jój.

Lecz inni prałaci przekonali go, że trzeba umieścić tablicę i jego nazwisko wyrycić na niej, poto, aby po wiek wieków biskupi krakowscy wiedzieli, jak biskup Iwo pieniędzy swoich używał.

I umieszczono tablicę dla przykładu.

## PRZYGODY NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

— Służyliście nam wiernie przez dwa dni— powiedział do nich — teraz powracajcie do waszej wioski, podziękujcie od nas waszemu władcy i oddajcie mu łódkę.

— Nie, nie możemy was opuścić, aż póki was nie doprowadzimy szczęśliwie do wielkiej rzeki jezior—rzekł Nijadi, najstarszy z wojowników—tak rozkazał Imboko, a my go słuchać musimy.

Wielką rzeką jezior nazywają murzyni rzekę Ogue.

— A nie obawiacie się spotkania z Kumirami?—zapytał Laenek.

— Wojownicy z plemienia Musikongów nie są przecież dziećmi i pobijają Kumirów.

— A goryle?—rzekł Laenek z uśmiechem, przypomniawszy sobie niedawne dzieje.

Na wzmiankę o straszliwych zwierzętach, Nijadi drgnął mimowoli, a po chwili odpowiedział:

— Najdzielniejszy wojownik niema władzy nad złemi duchami; ale teraz nawet straszny Pongo nie będzie mi mógł zaszkodzić, bo dostałem od wielkiego czarownika króle-

wskiego doskonale *mokisso*.— I pokazywał uśmiechając się z zadowoleniem naszyjnik z zębów kaimana i dwie dziwaczne lalki z piór, które w jego przekonaniu miały najskuteczniej odpierać napaści złych duchów, a nawet i samego Pongo. Towarzysze jego byli także uzbrojeni w rozmaite podobne ochronne środki i oświadczyli, że się żadnego niebezpieczeństwa nie lękają.

Laenek bardzo był z tego zadowolony, gdyż znając murzynów i ich zabobony, wiedział już teraz, że może na nich liczyć w potrzebie. Mała gromadka składała się więc z jedenastu ludzi uzbrojonych, a dzielny Leo był także obrońcą nie lada. Ukryto łódkę w zaroślach, ażeby Nijadi mógł ją znaleźć za powrotem i rozłożono obóz nad brzegiem rzeki; noc już zapadała, o świcie podróżni nasi mieli wyruszyć w drogę. Dziwne odgłosy puszczy kołysały ich do snu téj nocy. Ponad głowami ich przelatywały stada papug i innych ptaków, zwabionych blaskami ogniska, małpy, skaczące na gałęziach drzew nadbrzeżnych, przyglądały się im ciekawie i zrzucały na nich z góry liście i owoce, piszcząc przeraźliwie; w powietrzu brzęczały niezliczone owady, z daleka odzywały się ryki i wycia drapieżnych zwierząt, a wszystkim tym hałasom wtórował jednostajny, głuchy szum rzeki.

Okolo drugiej godziny po północy brytan zaczął warczeć z cicha, okazując niewykly niepokój. Laenek przebudził się i spostrzegł przy blaskach ogniska, jak jeden z murzynów oddalał się cicho od obozu, czołgając się wśród zarośli. Nijadi stał nieruchomy z bronią w ręku, czuwał on tak przez całą noc wiernie.

— Co to się stało?—zapytał Laenek.

— Nic jeszcze — odpowiedział Nijadi— Yombi poszedł na zwiady, a teraz posłałem za nim jednego z moich ludzi.

— Czy spostrzeżliście co podejrzanego?

— Wojownik, który czuwał razem ze mną, chodził napić się wody z rzeki i widział obcych ludzi w zaroślach; to muszą być Kumirowie.

— Czy tylko nie przywidziało mu się ze strachu.

— Wojownik Inenga nie zna strachu; on

zabił więcej Kumirów, niż jest zębów krokodyli w jego *mokisso*. Inenga jest dowódcą, tak samo, jak Nijadi, a gdy my dwaj czuwamy, biali ludzie mogą usypiać spokojnie.

Dwaj murzyni wysłani na zwiady powrócili w godzinę później, nie spotkali wprawdzie nigdzie Kumirów, ale znaleźli w zarosłach strzałę, świeżo złamaną, co było dostatecznym dowodem, że ludzie rzeczywiście znajdowali się w lesie, trzeba więc było mieć się na ostrożności. Nazajutrz raniuteczko podróżni zapuscili się w głąb lasu; wszyscy byli doskonale uzbrojeni, a murzyni nieśli na plecach zapasy żywności, któremi gościnnie Imboko gości swoich obdarzył. Doświadczony Mkunia utrzymywał, że należało iść w prostym kierunku przez dni czternaście, uważając tylko, ażeby słońce zawsze mieć po prawej ręce; tak niegdyś kierowała się karawana, z którą on w młodości podróżował. Po dniach czternastu mieli dojść do osady, zamieszkałej przez plemię zwane Assaros; gościnność tych mieszkańców była mu dobrze znana, gdyż sam wówczas na całe trzy miesiące pozostał był u nich z okaleczoną nogą, podczas gdy starsi jakąś dalszą odbywali wycieczkę. Słuchając opowiadania Mkunia, Yombi przypomniał sobie, że i on także kiedyś przechodził przez tę osadę, a zdawało mu się, że ztamtąd było już tylko z pięć dni drogi do brzegów wielkiej rzeki Ogue. Wszystkie te szczegóły ucieszyły niezmiernie dwóch młodzieńców i dodawały im otuchy, że podróż ich niezadługo szczęśliwie się zakończy.

Pięć dni upłynęło spokojnie, nigdzie nie napotkano po drodze śladu istot ludzkich, nasi podróżni zapomnieli już nawet o podejrzeniach murzynów i znalezionej strzale, ale Nijadi nie zmienił swego przekonania, nikt nie mógł mu wybić z głowy, że Kumirowie gdzieś niedaleko waleśają się po lesie. Nie dziwił się, że dotąd nie napadli jeszcze gromadki podróżnych, przypisywał to najpierw mocy czarodziejskich środków, licznych *mokissos*, które on i jego ludzie nieśli z sobą, a potem po trochę i obecności białych ludzi, bo tych murzyni w ogóle obawiają się tak samo, jak złych duchów. Leo widocznie był tegoż samego zda-

nia, bo często okazywał niepokój, w nocy zrywał się, wietrząc i warcząc; ale pies mógł czuć zbliżenie jakich zwierząt drapieżnych, więc Laenek pilnie przestrzegał, ażeby ognisko nie wygasło.

Ale Nijadi był wiernym i roztropnym stróżem, nigdy nie usnął dłużej, jak na dwie godziny z wieczora, potem czuwał przez całą noc, chodząc z bronią w rękę naokoło obozu; sam Laenek we wszystkim mu się powodował i rady jego zasięgał, a nie pożałował tego, gdyż, jak się później okazało, poczciwy ten murzyn uratował podróżników naszych od niechybnej śmierci.

Dnia szóstego mała gromadka napotkała na drodze swą niespodziewaną przeszkodę, znaczny obszar wśród lasu pokryty był bagnami i trzeba było zwrócić się w bok, aby je wyminąć. Trzej Europejczycy postąpili naprzód, zwracając się na lewo, gdy Nijadi zatrzymał ich, wołając głosem donośnym:

— Stójcie, ani kroku dalej; mamy przed sobą sidła Kumirów. Czy widzicie pod drzewami, tam właśnie gdzieście przejść chcieli, szeroki pas trawy zwiędłej i żółtkłej. Ta trawa już ścięta, niezbyt dawno, kiedy jeszcze nie uschła, rozłożono ją tak umyślnie dla przykrycia siodeł na słonie, a kto wie, może Kumirowie zastawili je na nas, sądząc, że łatwiej nam dadzą rady, gdy w dół wpadniemy. Oni tu muszą czatować w pobliżu na swoją zdobycz.

— Zkądże ci przyszło do głowy — rzekł Laenek — że Kumirowie na nas te sidła zastawili mogli? My przecież nie wyglądamy na karawanę kupiecką, nie mogą przypuszczać, żebyśmy nieśli z sobą jakie bogactwa.

— Macie piękną bron i jeśli Kumirowie to spostrzegli, dołożą wszelkich staran, aby ją sobie przywłaszczyć. W każdym razie sidła te są dowodem najlepszym, że jacyś ludzie tu są w pobliżu. I chcąc ich przekonać o prawdziwości słów swoich, Nijadi chwycił pień obalonego drzewa, podniósł go w górę z wysileniem i rzucił na miejsce, pokryte zwiędłą trawą. W rzeczy samej ziemia osunęła się nagle i drzewo wpadło w głęboką i szeroką jamę.

— Teraz już wiem, co to znaczy—rzekł Laenek—nic innego, tylko polowanie na słonie; ale i my, co prawda, mogliśmy wpaść w tę zasadzkę.

W téj chwili krzyk przeciągły i żalony odezwał się w oddaleniu.

— To słoń musiał wpaść w sidła gdzieś dalej—zawołał Yombi, który znał się doskonale na tém polowaniu. W téjże saméj chwili z gęstwiny leśnej wypadło ze stu murzynów całkowicie nagich, uzbrojonych w dzydy i łuki. Na widok podróżnych, cała ta gromadka przystanąła, niezrozumiałym krzykiem i niespokojnymi ruchami okazując raczej trwogę, aniżeli złe jakie zamiary. Nijadi poznał odrazu, że to byli ludzie z plemienia Uady, którzy zajmują się głównie łowieniem słoni i hipopotamów, i dostarczają kości słoniowej karawanom, otrzymując w zamian różne drobne europejskie wyroby. Nie było więc czego się obawiać.

Biedni ci murzyni przybliżyli się do naszych podróżników śmiejąc się i śpiewając; sądzili, że sprzedadzą im korzystnie kość słoniową, której mieli ogromne zapasy, ponieważ żadna karawana od dawna nie ukazała się w tych stronach. Ale spostrzegłszy ludzi białych, stanęli jak wryci, a niektórzy zaczęli się cofać w najwyższém przerażeniu. Pierwszy to raz w życiu zdarzyło im się widzieć istoty ludzkie takiego rodzaju, gdyż w téj krainie, oddalonej od morskich wybrzeży, pojawiają się tylko kupcy murzyni.

— Nie lękajcie się—rzekł Inenga—to są dobre duchy białe, które wam żadnej krzywdy nie wyrządzą.

Murzyni uspokojeni przystąpili do Europejczyków i padli na twarz przed nimi, błagając, ażeby odwiedzili pobliską ich wioskę i zapoznali się z ich królem.

Laenek przyjął chętnie to zaproszenie w imieniu towarzyszy i cała gromadka puściła się w drogę. Przechodząc obok sideł, zkad niedawno żalony jęk się odzywał, ujrzeli okazałego słonia, który zdawał się dogorywać. Murzyni zasypali go gradem strzał, ażeby go prędkiej dobić. Barthet i Guillois odwrócili oczy, widok cierpień tego łagodnego i roztropnego zwierzęcia, które tak ła-

two się przywiązuje do człowieka, rozrzedził ich do też prawie.

Wioska zamieszkała przez plemię Uady nazywała się Inoa. Przybycie białych nadzwyczajne tam wywarło wrażenie; król również nędzny i nagi, jak jego poddani, wyszedł na spotkanie znakomitych cudzoziemców. Zmartwił się bardzo, dowiedziawszy się, że nie są kupcami i nie mogą mu dostarczyć za kość słoniową rumu, prochu i szklanych paciorków, ale ich przyjął gościnnie, a nazajutrz, gdy odchodzili, dał im na drogę spory zapas manioku.

Poczcwi ci murzyni opowiadali podróżnikom, że Kunirowie w rzeczy samej włoczyli się ustawicznie w tej okolicy i nieraz już napadali na spokojnych mieszkańców wioski Inoa. Nijadi miał dobry węch. Oprócz tego uprzedzili ich, że napotkają wkrótce po drodze wioskę Fanów, którzy niedawno osiedlili się w tych stronach i trudnili się rolnictwem.

Przed wieczorem podróżnicy natrafili na przesliczną miejscowość nad brzegiem strumienia i wcześniej niż zwykle zatrzymali się na nocleg. Laenek wybrał się na polowanie z wiernym swoim Mkunią, chcąc dostarczyć świeżej zwierzyny na wieczerzę, Yombi z dwoma innymi murzynomami zajął się zbieraniem drzewa na ognisko, a Mbu-na łowiła raki w strumieniu. Stara murzynka wielką miała ochotę przyrządzić swojemu panu ulubioną jego potrawę i goniąc za rakami oddaliła się nierozważnie od reszty gromadki, którą wkrótce zupełnie z oczu straciła. Nim jednak uловиła dostateczną ilość raków, słońce szybko się zniżyło na niebie i mrok zapadł nagle; murzynka wtenczas dopiero spostrzegła, że za daleko odeszła i zaczęła pędem biedz w stronę, gdzie zostawiła towarzyszy. Wtém nagle czterech murzynów dziwacznie pomalowanych wyskoczyło z zarośli, i zatykając jej usta, ażeby krzyczeć nie mogła, uniosło ją w stronę przeciwną. (d. c. n.)

## Z a g a d k a. (Wł. N.)

Dwaj ojcowie i dwaj synowie zabili trzy zające, a każdy niósł po jednym.

## Łamigłówka zgłoskowa. (N. O.)

Z następujących zgłosek: ~~u~~—~~v~~—ga—glau—i—~~ka~~—ki—~~lu~~—~~mon~~—ne—nan—o—~~rak~~—sa—~~sas~~—~~sko~~—~~sum~~—tor—woj—ułożyc 9 wyrazów: 1) Ryba. 2) Rzeka pograniczna. 3) Zakończenie każdej modlitwy. 4) Miasto w Azji. 5) Miasto w Morawii. 6) Narodowość. 7) Imię. 8) Napój. 9) Zgromadzenie żołnierzy. Początkowe litery od góry do dołu utworzą imię, końcowe, w tym samym kierunku nazwisko sławnego muzyka.

## Rozwiązania do Numeru 35-go.

## Łamigłówki zgłoskowej:

Jundziłł  
Amu  
New-York  
Kamczatka  
Ormus  
Chodkiewicz  
Hamburg  
Arno  
Nabuchodonozor  
Ofen  
Wapowski  
Szemnic  
Kopernik  
Irawaddi.

Jan Kochanowski—Łukasz Górnicki.

## Szarady: Ul—ryk.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni P. w Włoczewie. Smutne to jest troszkę dla nas, że liścik pisany był jedynie z rozkazu Mamy, a nie z własnego popędu. Staramy się najszczerzej upewnić młodych naszych korespondentów, że odezwy ich zawsze są dla nas miłe i pożądane. Dziękujemy za dowcipne łamigłówki, wszystkie się nam przydadzą. Ogłaszaliśmy parę razy w Piśmie naszym cenę kompletów pozostałych z roku zeszłego; ponieważ jednak zabrakło nam obecnie dodatku Historii biblijnej, więc roczniki bez tego dodatku, odstępujemy zbroszurowane po 3 rs., za przesyłką pocztową dopłaca się 50 kop. Kto nadesła dobre rozwiązanie zagadki historycznej, zamieszczonęj w Nrze 36, otrzyma bezpłatnie ten rocznik. Pozostawiamy dość czasu na to. Historia literatury Mecherzyńskiego jest dobra bardzo dla młodzieży, kosztuje 2 rs. Obszerniejsza nieco Kuliczkowskiego 2,40. Nie znamy osobno wydanej po polsku historii rzymskiej, ani historii Francyi. Pierwszy tomik Zaremby wysłaliśmy wraz ze pisem treści zeszłorocznego rocznika Wieczorów. Z wielką przyjemnością odczytaliśmy trafne zdania o utworach zamieszczanych w Piśmie naszym. My także jesteśmy zdania, że rzeczy swojskie, niewyszukane i proste, najstosowniejsem są czytaniem dla młodego wieku; nie zawadzi jednak troszkę rozmaitości, a podróże z przygodami ulubione są szczególnie przez chłopców.

P. Gr. w Ludwikówce. Żądane książki wysłane, oprócz Historii polskiej Zdanowicza, która jest wyczerpana. Ruchunek prześlemy później. Historia biblijna ks. Serwatowskiego z rycinami kosztuje 60 kop. Atlas polski dość dokładny Kozca rs. 3. Niemieckie są na różne ceny. Wyborny, najnowszy, Andreesa kosztuje rs. 10, w oprawie 13. Historia Zaremby od dawna wysłana; przez omyłkę upominaliśmy się o przedpłatę, zapomniawszy, że z dawnego rachunku pozostało 45 kop. Najmocniej przepraszamy za nieuwagę. Drugi tomik nie wyszedł jeszcze z druku.

Tręść.—Komety, przez M. J. Z.—Pogadanki o sztukach pignych, z drzeworytem, przez M. J. Z. (dokończenie).—Słonko, (wierszyk), przez El—y.—Objaśnienie wzoru do rysunku, (z drzeworytem).—Z życia wielkiego wojewody, powieść historyczna, przez Paulinę Krakowową, (dalszy ciąg).—Gawędy podsłuchane u Wiślanej fali, przez M—a.—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od redakcyi.

Prenumerata wynosi w Warszawie: Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½, Miesięcznie kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Rocznie rs. 5 i 10 kop. Kwart. rs. 1 kop. 27½, w Poznaniu u N. Kamińskiego: Rocz. 14 marek. Kwart. 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi Rocz. 16 marek. Kwart. 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta Rocz. 7 zlr. 20 cent. Kwart. 1 zlr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: Rocz. 8 zlr. 80 cent. Kwart. 2 zlr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. Rocz. 6 zlr. 60 cent. Kwart. 1 zlr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: Rocz. 8 zlr. Kwart. 2 zlr.

Biuro Redakcyi: Ulica Mazowiecka Nr. 8.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Августа 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.